

Zdzisława Bytnar

Materiały do biogramu
harcmistrza Jana Bytnara



Redakcja i opracowanie:
Janusz Krężel

Asystent Redaktora:
Janusz Rządcki

Mielec - Warszawa
1997

Wydawca:

Szkoła Podstawowa Nr 13 w Mielcu im. Jana Bytnara "Rudego".
Wydano z okazji przyjęcia przez Szkołę imienia Bohatera w dniu
26 kwietnia 1997 roku.

Konsultacja: Danuta Barbara Bytnar-Dziekańska "Duśka"

Recenzenci: Wiesław Kulikowski, Janusz Krężel

Adiustacja tekstu: Janusz Krężel

Projekt okładki: Witold Targosz

Realizacja projektu: Mirosław Dryła

Korekta: Zofia Stachowicz, Justyna Jarecka-Chmielowska,
Janusz Krężel, Janusz Rządcki

Fotografie pochodzą ze zbiorów rodzinnych: Zdzisławy i Stanisława
Bytnarów, Danuty Barbary Bytnar-Dziekańskiej, Piotra Gawrona,
Marka St. Graniczkowskiego, Augusta i Wiktora Jadernych, Janusza
Krężela, Mieczysława Szczepanka, Ewy Tomasiak, Piotra Korpantego,
Marka Popiela, Tadeusza Pudelko, Krzysztofa Szczurka
Wybór zdjęć: Janusz Krężel

Indeks nazwisk i miejscowości opracował: Janusz Rządcki

Zdjęcia zamieszczone w rozdziale, Jaś Bytnar, pochodzą z albumu
ofiarowanego Januszowi Krężelowi przez Zdzisławę Bytnar
w dniu 21. listopada 1982 r. Zachowano oryginalne podpisy.

Fiołki malowała: Maria Skalska (Dębica)

Skład, druk i oprawa: Mała Poligrafia Redemptorystów w Tuchowie

Nakład: 500 egzemplarzy

ISBN 83-86744-71-5

Wszelkie prawa zastrzeżone



929 (438) 1997/10 331 (1006/10) 329,78

SPIS TREŚCI

Janusz Krężel, Przedmowa	9
Janusz Krężel, Kładła na stole bochen serca	19
Przypisy	75
Kazimierz Szalata, Pamięci Janka Bytnara "Rudego"	86
Zdzisława Bytnar, Jaś Bytnar	87
Aneksy	133
Bibliografia	141
Indeks nazwisk i pseudonimów	149
Indeks miejscowości	159
Kopia rękopisu Zdzisławy Bytnar, Materiały do biogramu hm. Jana Bytnara	165

Kazimierz Szałata

Pamięci Janka Bytnara "Rudego"

Jeszcze nas bołą
te niewinne oczy
wpatrzone w ogień
wypalonych dłoni
jeszcze się trudno
uporać z pamięcią
choć wierne ślady
zaraz za stopami
odeszły w ciszę
trudno się wyrzec
ostatniego słowa
tak jak nie łatwo
zrezygnować z siebie
więc po harcersku
na dobranoc -

Czuwaj

zostańmy w ciszy
z bandażem na ustach
i z opatrunkiem
na krwawiącą pamięć

Rzeszów, 14.08.1978 r.

Wiersz powstał z inspiracji hm. Janusza Krężela, który przedstawił pocie bohaterską sylwetkę Janka Bytnara "Rudego".

Zdzisława Bytnar

Jaś Bytnar

"Drogiemu Druhowi hm. Januszowi Krężelowi jako biografowi Jaśka przekazuję moje wspomnienia z wielką prośbą opracowania w całości krótkiego ale bardzo twórczego Jego życia.

Matka
Zdzisława Bytnar

Mielec, 12.III.1985"

“Ci co ponad czas i miejsce ducha swego wzbili,
mogą czucia wieczności doznać każdej chwili”.

Nosił płomienną miłość Ojczyzny w sercu,
dla niej żył, uczył się, działał,
walczył o Jej honor i dla Niej
poniósł męczeńską śmierć.
Umierając, był bardzo szczęśliwy.

6 maja 1921 roku, w samo południe, kiedy sygnaturka kościelna oddzwoniła na Anioł Pański, urodziłam syna w domu moich rodziców, przy ulicy Nowe Miasto nr 10 w Kolbuszowej.

Przyszedł na świat cichutki, słabiotki tak, że położna musiała go klapssem do życia pobudzić, by krzykiem zaanonsował swe przyjście na świat. Nie umiał zrazu chwycić matczynej piersi (bo może sutek nie był dość wykształcony), więc pierwszy pokarm dostał od mojej siostry Rysi, która wówczas karmiła swego paromiesięcznego synka. Potem już nie było z tym kłopotu, jednak nie wielkie miał zapotrzebowanie i już od zarania miałam wielkie zmartwienie, czy przy tej małej dozie pokarmu będzie przybierał na wadze. Powoli przybywały te gramy i rodziła się nadzieja, że z czasem pierzchną moje obawy. Miał już dwa dni, kiedy przyjechał ojciec z Niekłania. Uroczysty to był dzień, bo syn przyszedł jako wspaniały prezent imieninowy. Ojcu było na imię Stanisław i obchodził swe imieniny 8 maja, więc radości było wiele.

Nie uzgadnialiśmy przedtem z mężem, jakie nadamy synowi imię. Po wielu wysuniętych propozycjach ojciec "przeciął" dyskusję, mówiąc: "będzie Jaś, wszak w tylu piosenkach opiewany jest Jaś. Zre-sztą przyniósł sobie imię kalendarzowe, bo 6 maja jest Jana". Zgodziłam się bez protestu, nie zastanawiając się nad tym (na co zwróciła mi siostra uwagę), że wybrał sobie za patrona Jana w Oleju - męczennika, którego poganie wrzucili do kotła z wrzącym olejem.

Na drugie imię otrzymał "Roman"*, by upamiętnić mego brata, poległego w Legionach w 1914 roku.

Po trzech tygodniach opieki mojej, matki i siostry, które uświadomiły mi, że dziecko musi być bardzo troskliwie pielęgnowane, przygotowałam się do drogi. Tego dnia przyjechał mąż i jego matka, by się zaopiekować mną i nowonarodzonym w czasie podróży. Komunikacja była wtedy bardzo uciążliwa. Najpierw dojeżdżało się tzw. "pocztą", czyli furmanką, do Sędziszowa. Z Sędziszowa już koleją do Dębicy. Tu była "przesiadka" na pociąg jadący do Skarżyska.

Na stacji w Dębicy "chwyciła" nas noc. Bufetowa ułatwiła mi wieczorną kąpiel, gdyż był czas upalny. Ofiarowała mi również na nocleg swoją dyżurkę. Ojciec Jasia i moja teściowa drzemali w poczekalni, gdyż pociąg do Skarżyska odjeżdżał dopiero rano.

* Rodzicami chrzesnymi byli:
Siostra Maria Niezgoda i kolega Wacław Boroński



Jaś ma 3 miesiące.
Niekłań, 10.VIII. 1921.



Szkoła w Niekłaniu, gdzie Jaś spędził lata dziecięce.

W Skarżysku zapóźniliśmy pociąg odchodzący do Warszawy tak, że musieliśmy znowu szukać noclegu u przygodnego kolejarza. Dopiero więc na trzeci dzień "dobrnęliśmy" do stacji Niekłań i tu czekała na nas bryczka, uproszona w majątku hrabiego Platerra, bo ze stacji było 3 km do budynku szkolnego w Niekłaniu. Na marginesie muszę dodać, że dzięki wpływom tego hrabiego stacji nadano nazwę jego majątku, mimo że bliżej był Stąporków - co nastąpiło dopiero w Polsce Ludowej.

Rozpoczęły się wakacje. Mogliśmy teraz razem we trójkę czuwać nad dzieckiem, bo matka zajęła się gospodarstwem. Wkrótce u Jasia ujawniły się dolegliwości gastryczne, brak apetytu i niepokoje nocne. Trzeba było zasięgnąć porady lekarskiej. Nie było to łatwe. Opiekę lekarską w okolicy sprawowało wtedy dwóch felczerów: jeden był na etacie Zakładów Ostrowieckich, drugi zaś, po zdemobilizowaniu z wojska rosyjskiego, powrócił do Furmanowa, sąsiedniej wsi, i tu prowadził nielegalną praktykę, zyskując sobie wielkie zaufanie wśród ludności okolicznych wiosek. Ani pierwszy, ani drugi nie był pediatrą, chociaż dostarczali jakieś miksturki, które wcale nie były skuteczne.

Trzeba było dużej wprawy, by można było kolejną dostać się do powiatowego lekarza w Końskich, gdy zachorował poważnie. Miał bowiem skłonności do chorób o ostrych objawach i gwałtownym przebiegu. Wysoka gorączka przyprawiała nas częstokroć o obawę, czy jego wątły organizm przezwycięży atak groźnej choroby. Był dzieckiem bardzo wrażliwym i jak gąbka wchłaniał w siebie różne zarazki. Mieszkaliśmy bowiem w budynku szkolnym i przez ściany sąsiadowaliśmy z izbami szkolnymi, jako nauczyciele wnosiliśmy do mieszkania różne miazmaty chorobowe, a Jaś ciągle zapadał i walczył z każdym wirusem o życie.

Trudne miał więc niemowlęstwo, a my wielkie zmartwienie i utrudzenie. Każda łyżka lekarstwa, a potem posiłku budziła w nim odruch niechęci, którą trzeba było przełamywać na różne sposoby, a to nową zabawką, to znów odwracaniem uwagi jakimś pokazem. W ten sposób można było wsunąć do ust jakiś kęs czy wlać łyżkę zupy, a później przekupstwem - bajką. Wziął sobie to za rekompensatę stałą i "zapłatę" za przełknięcie łyżki posiłku.

Kilkakrotnie był w niebezpieczeństwie życia, nawet po zaszczepieniu ospy gorączkował wysoko. Prześladowały go co pewien czas anginy i rozpacz nas brała, bo nie mogliśmy zaraz wezwać lekarza. Tak mężczyliśmy się razem z nim, mieszkając na wsi.

W porównaniu z młodszą siostrą był rzeczywiście kruchy, wątły, delikatny, podczas gdy Dusia była okazem zdrowia. Całą czułość i troskliwość rodziców skupiał wokół swojej osoby przez okres niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa. Troska nasza tym więcej była wyczulona, bo obok wielkiego zmartwienia o jego stan fizyczny mieliśmy na przemian i niemało radości, bo jego rozwój umysłowy rokował wielkie nadzieje. Był żywy, ruchliwy i chociaż chudziutki, już w szóstym miesiącu "paplał" wyraźnie mama, baba i rozwój mowy następował ponad podziw sukcesywnie. Równocześnie objawiał duże zaciekawienie otoczeniem, wykazywał zainteresowanie życiem w domu.

Mimo swojej chudej konstrukcji lekko podciągał się i chwycił szczebelki wiklinowego łóżeczka, a mając zaledwie 8-9 miesięcy, z wielkim jeszcze wysiłkiem, chwytając się poręczy, stawał na chwiejących się nóżkach. On cieszył się z wysiłku, a nas wprawiał niemal w euforię. Do roku dreptał żwawo naokoło łóżeczka i stawiał pierwsze kroki po podłodze, prowadzony za rączkę. Wreszcie bez trudu spacerował po pokoju, trzymając się sprzętów.



Trzyletni Jaś z matką.

Przy zasypianiu obejmował pluszowego misia i z nim usypiał prędko, zwłaszcza gdy ojciec zagrał na skrzypcach jakąś kołysankę lub śpiewał mu, cicho nuąc.

Zabawki trzeba było co pewien czas zmieniać, gdyż przestawał się nimi interesować, lub, zgłębiwszy ich mechanizm, po prostu psuł. Najdłużej służył mu drewniany wózek z konikiem, zwany krakowskim, malowany, którym rozwoził po mieszkaniu co tylko można było do niego włożyć i jechał to do babci, to do dziadka, określając zawsze kierunek.

A kiedy w trzy lata później przyszła na świat Dusia, taka mała, żywa zabawka, zachwyty nią nie było końca. Asystował przy kąpielach przyjaźnie i z łatwością naśladował pieśczęty rodziców, przemawiając do niej z czułością, prosił, by mógł ją potrzymać na rękach, otaczał ją swoistą, dziecienną miłością, podnosił gwałt, gdy tylko zapłakała, by ją nakarmić lub przewinać, cieszył się nią wielce, wyzwalając w sobie jakieś wczesne, braterskie uczucia. Oddawał jej potem swoje zabawki i nawet wtedy, gdy ona rzucała je bezmyślnie (a raczej chciała słyszeć uderzenie).

Doczekał się też i przykrości pierwszych. Dusia miała dobry apetyt i z czasem rywalizowała z nim w szybkości czy ilości zjedzenia swych porcji, a szczególnie gdy z przyjemnością wypijała tran, podczas gdy Jaś na sam widok czy zapach już się krztusił i można powiedzieć, że każda łyżka tranu kosztowała go klęskę. Zresztą już zawsze tak było, że Jaś miał niedobory w wadze ciała, podczas gdy Dusia była pulchnutkim pączuszkim i, nie rozumiejąc jego dramatu, starała się na tym polu wygrywać.

My, w trosce o jego zdrowie, przyczynialiśmy mu zmartwienia, gdy chodziło o posiłki. Przeżywał każdorazowo jakiś wstrząs: szły targi o jeszcze jedną łyżkę "za tatusia", "za mamusię", ale męczył się, dławiąc, nie mógł się przezwyciężyć, podczas gdy Dusia szybko osiągała dno talerza i mogła oglądać swego "krasnoludka".

W Niekłaniu sasiadowaliśmy z izbami szkolnymi. Na odgłos dzwonka Jaś bardzo się ozywiał i prosił, aby wolno mu było pójść do dzieci podczas przerwy, często też sam się "wymykał". Nie zawsze mu na to pozwalałam, bo kontakt z dziećmi był dla niego niebezpieczny, chłonał jak gąbka wszystkie mikroby, a były to czasy naprawdę wielkiej biedy na wsi. Brak było zwyczajnej higieny, działały ledwie dwie studnie wzdłuż długiej ulicówki.

Nawet szkoła, zbudowana na górcie, nie posiadała własnej studni, czego dziś nie mogę sobie wytłumaczyć i darować, jak mogliśmy przez te sześć lat pobytu obywać się bez dostatecznej ilości wody pod ręką. Przynoszenie wody było uciążliwe, bo beczułkę na drążkach musiało dźwigać dwóch ludzi. Był wprawdzie chłopiec w charakterze woźnego, który w czasie nauki szkolnej brał uczniów do pomocy i szedł po wodę, ale kiedy szkoła nie była czynna, pan kierownik ze służącą szedł sam po wodę. Jaś czekał na taką sposobność i biegł za ojcem.

Gospodarstwo prowadziła nam teściowa, która namówiła nas na kupno krowy, by dzieci miały dobre mleko, bo na wsi (według opinii felczera) krowy były zagruźliczone, a kruchy stan zdrowia Jasia przyprowadził nas o paniczny strach.

W związku z tym potrzebna była już pomoc domowa, by oddzielić sprawy gospodarcze od opieki nad dziećmi. Z czasem przybyły i kury, kurczęta, a nawet kaczki, bo o mięso było na wsi bardzo trudno. Jedyny Żyd - pachciarz, raz w tygodniu zabijał cielę, rzadko krowę i tym mięsem obdzielał kilkanaście rodzin urzędniczych, pracujących w Zakładach Ostrowieckich na terenie Niekłania. Dla kierownika szkoły zostawało niewiele, ale Żyd był niejako zobowiązany, by coś przynieść



Jaś z siostrą Dusią.

ze względu na dzieci, gdyż posyłał do szkoły swego syna. Uczyło się w naszej szkole dwóch Żydków - syn pachciarza i krawca z sąsiedniej wsi. Tenże krawiec wykonał pierwszą pracę dla kierownika szkoły na wstępie jego działalności pedagogicznej, a mianowicie przerobił wysłużony płaszcz wojskowy (który był pomostem naszego związku małżeńskiego) na kurtkę, która jeszcze dobrze służyła.

Były to lata bardzo trudne: inflacja i niskie pobory nauczycielskie nie pozwalały na zagospodarowanie się młodemu małżeństwu. Gościem stałym był ranny barszcz, a wieczór zalewajka, podobnie jak na wsi.

W związku z hodowlą kaczek przeżyliśmy poważny dramat, bo w okresie wiosennym, kiedy Jaś miał już 4 latka - kaczki nie znosiły jajek. To było zastanawiające, bo w sąsiedztwie już nasadzono kwoki. Tą wiadomością podzieliliśmy się z woźnym, który powiedział, że muszą się kaczki "nieść" poza domem i trzeba za nimi pójść i wysledzić gniazdo. Kaczki zresztą codziennie odbywały podróż do odległego stawu.

Po tej rozmowie Jaś nazajutrz zginął. Szukano go bliżej i dalej po wsi, lecz bez rezultatu. Rozbiegły się dzieci szkolne by go szukać. Minęło aż trzy godziny, a nasz niepokój urósł do wielkiej trwogi, bo nie było śladu. Nikt go nie widział. Dopiero dzieci, które szły do szkoły na drugą zmianę, zauważyły go jak siedzi nad stawem, od strony Nieklania Małego.

Nie trudno wyobrazić sobie, co się wówczas w domu działo. My, truchlejący ze strachu o jego życie, a on wcale nie przerażony i nie rozumiejący naszego zatrwożenia.

Pytamy? Gdzie był, co robił? Odpowiedział z jakimś błyskiem wewnętrznej satysfakcji: "a ja wiem, gdzie są jajka!". Co się okazało? Rano babcia dała kaczkom jeść. Asystował jej przy tym Jaś. Potem babcia powróciła do domu, zaś kaczki najedzone, wybrały się jak zwykle do stawu. Za nimi ruszył Jaś, pomny wczorajszej rozmowy. Usiadł nad brzegiem i Bóg strzegł, że nie wpadł do stawu. Przez długi czas obserwował życie na stawie, którego nie znał i tak go ono zainteresowało, że zapomniał o powrocie do domu. Rzeczywiście w wiklinie było więcej jajek, które znosiły nasze i cudze kaczki.

Zrozumieliśmy wówczas, że Jaś interesuje się sprawami domu, myśli i kojarzy dobrze, a nawet wędruje śmiało poza granice domu. Najczęściej uciekał nam do kowala, p. Dajera, który miał kuźnię w środku wsi, bo tam ruszała się "kanapka" - miech, palił się ogień i tyle było ciekawych zabawek - narzędzi i poza tym kucie koni i w ogóle

wiele ciekawostek było na podwórzu gospodarczym. Dwoje dzieci kowala chodziło do szkoły (był on najbogatszym wówczas człowiekiem we wsi), dobrze się nawet uczyły i były też dobrze wychowane*.

Kiedy nam uciekał do kowala, przybiegało zawsze jedno z dzieci z zawiadomieniem, że się u nich znajduje i że go odprowadzą do domu. Bywało, że wracał z fartuszkami upranymi i niedosuszonymi, ale czystymi, bo musiał przecież wszystkiego się dotknąć. Zresztą kuźnia była pełna sadzy, a ubierałam go zawsze w czysty fartuszek "krzyżaczek" z dużą kieszenią. Trudno go było namówić do powrotu z tej kuźni.

Ogólnie dobrze się czuł wśród dzieci wiejskich. Zdarzyło mu się być raz bardzo skrzywdzonym. Na pograniczu podwórza szkolnego był mały zagajnik, gdzie rosło kilkanaście brzoźek i chłopcy podczas paury dosięgali gałęzi, które ich potem unosiły w górę i huśtały. Jeden z chłopców przyciągnął taką gałąź Jasiowi. Gałąź uniosła Jasia jak piórko do góry. Z przestrachu wypuścił gałązkę z ręki i spadł na ziemię. Upadek był bardzo bolesny, bo prawie nieprzytomnego przyniesiono do domu. Leżał przez kilka dni w gorączce, majacząc. Przywieziony lekarz podejrzewał wstrząs mózgu. Na szczęście wyszedł cało z tej opresji.

Innym razem, a zdarzyło się to w maju, był urodzaj chrabąszczy. Spadały z drzewa masami, z czego korzystały kury. Jeden z chłopców, taki dokuczliwy łobuz, udawał, że zjada chrabąszcze, przy czym delectował się, mówiąc, że są słodkie. Namówił Jasia, prawie pod przymusem, żeby skosztował. Jaś miał pełną kieszonkę chrabąszczy, więc rozgryzł jednego czy też połknął i nagle zrobiło mu się słabo i w końcu zemdlął. Przyniosła go służąca słabiutkiego, bladego, wymiotującego i płaczącego. W ten sposób zdobył smutne doświadczenie, a my świadomość, że nie dość czuwamy nad jego bezpieczeństwem.

Często zapadał na anginy. Miał wtedy wysoką gorączkę, która zmuszała go do przebywania tygodniami w łóżeczku, bo organizm trawiła gorączka, pozbawiała apetytu, co sprawiało, że "w oczach"

* Córkę Zosię przygotował do seminarium i osobiście zawiózł ją do szkoły. Została nauczycielką i uczyła w słynnym Liskowie, nie zrywając kontaktu z nami. Napisała też o Jasiu wspomnienie z lat jego dziecińczych, które zostało złożone na ręce Jana Rolewicza.

Brat jej, Henryk, spotkał się ze Stanisławem Bytnarem w Oświęcimiu - przeżył obóz, ale po powrocie do Nieklania nie godził się z reżimem i został publicznie (Sąd Ludowy w Odrowążu) stracony. Taką chwalebną śmiercią zginął nasz uczeń w okresie tzw. błędów i wypaczeń. Dzielny, zdolny pracownik.

mizerniał. Aby spokojnie leżał, pełniliśmy przy nim dyżury, gdyż musiał przyjmować punktualnie lekarstwa, a także by nie wstawał, trzeba go było zabawiać.

Najczęściej był spokojny, gdy mu się czytało lub coś opowiadało. Lubił namiętnie słuchać powiastek, bajek i można było za cenę bajki wymusić u niego jakiś posiłek. I tak się zaczęła rodzinna "mitrega", że trzeba było mieć w zapasie coś ciekawego, gdyż nie łatwo było go zadowolić. Na zmianę odbywało się czytanie, opowiadanie lub wprowadzanie w akcję różnorodnych zwierząt, zabawek, wreszcie lepienie z plasteliny i rysowanie kredkami. Naprawdę trzeba było wiele wysiłku, by wyobraźnię jego poruszyć, wciągnąć czynnie do zabawy i podsycać ciągle nowymi sztuczkami, gdyż nie ustawał w wymaganiach.

Gdy był zdrowy, "zakradał" się często do klasy, zwłaszcza do mojej. Ukrywał się wtedy pod ławką. Po chwili "wyłaniała" się jego główka i zjawiał się figlarny uśmiezek. Ponieważ zachowywał się spokojnie, był zasłuchany i prosił o pozwolenie przebywania, a za nim i dzieci prosiły, więc go nie usuwałam.

Wystarczyło, że posłyszał tylko śpiew w klasie ojca, wtedy czym prędzej przeprowadzał się, chwytając w lot melodię i słowa. Lubił śpiewać i nucił sobie podczas zabawy.

Bawił się sam, ale niedługo, bo potrzebował podnieci, inwencji, ciekawego wniesienia nowego elementu, by urozmaicić akcję i potem znowu mógł w tym duchu się zabawiać. Powtarzał zdobyte wiadomości, ale i one szybko potrzebowały wsparcia, dalszych uzupełnień. Wtedy zrozumieliśmy, że Jaś nieustannie poszerza swe możliwości, wzbogaca swe doświadczenia, chłonie każdą nową myśl, przyswaja sobie bez trudu nowe wiadomości. Ale też zamęczał swe otoczenie, sam nie będąc zmęczony.

Wydarzeniem wielkim był wyjazd ojca w 1925/1926 r. na studia do Warszawy. Odczuł bardzo jego brak i nie mógł pogodzić się jakoś po dziecinnemu, że ojciec pisuje teraz listy, rozmawia z nim, nakazując, aby grzecznie leżał w łóżeczku, zjadał wszystko, co na talerzu dostanie. Brał list ojca do ręki i chciał w nim zobaczyć swego tatusia, za którym bardzo tęsknił.

Do każdego prawie listu dołączał ojciec jakiś drobiazg dla niego, a to rysunek, a to malowanekę, czy też pocztówkę. Nic więc dziwnego, że Jaś razem ze mną wyczekiwał listu. Za każdym przyjazdem przywoził mu ojciec jakąś kształcącą zabawkę, ale też wiele radości spr-

wił mu kolorowe klocki, które ilustrowały bajkę, tyle tylko, że trzeba było ją logicznie ułożyć wedle treści.

Gdy raz mu ułożyłam i zaznajomiłam z treścią, nie miał zbytniej trudności w układaniu tych bajek.

Na drugi raz przywiózł mu znowu klocki z alfabetem drukowanym i wreszcie zaczęła się ciekawa praca: od złożenia wyrazu TATA, który odwzorował bez błędu. To samo potrafił ułożyć z zapalek - jakby miał zdolność fotografowania wyrazów. Nastąpiły dalsze prace: ułożenie MAMA czy BABA i w końcu JAŚ. Znalazł się szybko ołówek i Jaś mógł podpisać się na liście do ojca; najpierw fajeczka, potem domek A i wężyk S. Radości było co niemiara, bo nastąpiły dalsze ćwiczenia: nazywanie liter, składanie i nie wiadomo kiedy zaczęła się ciekawa, chociaż żmudna początkowo, nauka czytania. Nie miał żadnych zasadniczo trudności, bo pamięć kształtów miał dobrą, łatwość kojarzenia i odwzorowywania. Wkrótce mógł podpisać się w liście do ojca: Całuję Jaś.

Były wówczas w sprzedaży obrazki kolorowe z podpisem akcji jednym krótkim zdaniem. Bardzo mu się te obrazki spodobały, zwłaszcza gdy zaczęłam nimi manipulować, zakrywać zdania pod obrazkami, odcinać i mieszać, by dopasowywał właściwe nazwy pod właściwe obrazki, a w końcu, by odczytywał same zdania. Miałam już wówczas świadomość, że Jaś dobrze spostrzega, ma wyostrzoną uwagę, pamięć obrazu wyrazów trwała, a nade wszystko dużą cierpliwość.

Trzeba dodać, że bez zbytniego zmęczenia czynił niemałe, ambitne wysiłki, by odpowiedzieć zadaniu. Nie zrażał się trudnościami, kilkakrotnie powtarzał swe próby, aż do dobrego wykonania. Był żywo zainteresowany, czymś stale zajęty. Jeśli mu coś stanęło na przeszkodzie, domagał się pomocy i nie porzucał zajęcia.

Pobyt ojca w Warszawie dał mu dużo korzyści, dostarczył mu wiele nowego materiału kształcącego, więc jego rozwój umysłowy był widoczny.

Ostatnim warszawskim podarunkiem był elementarz Falskiego, pięknie wydany, kolorowy, który Jasiowi przypadł do serca i "zawrócił w głowie". Z miejsca nim się zainteresował. Sprawdziła się tutaj informacja (metodyczna), że zdolne dzieci mogą już w wieku 5 lat opanować naukę czytania. Tak było też w przypadku Jasia, który drogą ogromnego zainteresowania zaczął zgłębiać tajemnicę układu wyrazów, łączyć, kojarzyć, spostrzegać różnice, porównywać z ilustracją i nie wiadomo kiedy posiadał umiejętność czytania.



Bytnarowie i Rolewiczowie Jaśki - dwaj rówieśnicy.
Piastów - sierpień 1927.



Ciocia Janka opowiada bajkę.

Na przestrzeni 6-7 lat opanował treść, to znaczy przeczytał pierwszą książkę Falskiego. To samo można powiedzieć o rozwoju liczb. Umiał policzyć swe paluszki, orientować się w zbiorach w zakresie 10, potrafił dobrać odpowiednią cyfrę. Lubił nakrywać do stołu. Liczył osoby i dla nich nakrycia. Umiał dzielić sprawiedliwie cukierki dla siebie i siostry. Zakres liczb też poszerzał ciekawie, bowiem "kartkowa" książki coraz grubsze i doszedł do tysiąca, nie zdając sobie sprawy z pojemności czy zawartości jednostek tak dużych. W ostatnim nawet etapie zaczął poprawnie dopisywać liczbę następną, gdy jej nie było w nowym rozdziale. Równolegle używał kredek, plasteliny, ołówków kolorowych. Lubił rysować, szczególnie sylwetki ludzkie. Najczęściej rysował rodziców: ojca z nieodłączną teczką, a matkę w kapeluszu z piórkami. To były schematyczne figury, które się powtarzały. Obok tego zaczęła się pojawiać sceneria: drzewa, domy, ptaki, kotki, pieski i kwiaty. Rysunki bowiem odsłaniały jego myśli.

Zaczął szósty rok, gdy przeprowadziliśmy się z Niekłania do Piastowa pod Warszawą. Zdecydowaliśmy się zaprowadzić go do słynnego wówczas pediatry Janusza Korczaka. Po zbadaniu gruntownym znaleźli u Jasia źródło choroby, a mianowicie ropne zapalenie gruczołu w gardle, który kazał natychmiast usunąć. Poleciał chirurga dr. Mrocza.

I zdarzyło się raz, że przyjechała do nas z wizytą do Piastowa p. Maria Grzegorzewska, zapewne by poznać środowisko kierownika Szkoły Ćwiczeń, którego wypytywała nieraz jak się dzieci chowają i który opowiadał "cudeńka" na temat rozwoju umysłowego Jasia.

Po przybyciu p. Grzegorzewska łatwo nawiązała rozmowę z Jasiem. Pokazywał jej swoje prace, wycinanki, wydzieranki, nalepianki, a na końcu zeszyt rysunkowy, w którym były sylwetki członków rodziny z pewnymi "dodatkami" rozpoznawczymi. Padło wtedy życzenie p. Grzegorzewskiej, by i ją narysował. Przypatrzył się jej badawczo i wziął się ochoczo do pracy. I co się okazało? Na kartce narysował tylko duże okulary. Trzeba tu podkreślić, że spotkał pierwszą osobę, która nosiła okulary, więc utrwalił charakterystyczną cechę, jaką różniła się od osób z otoczenia, ale nie pokusił się już o namalowanie sylwetki.

Pani Grzegorzewska dużo nam zostawiła nadziei i podkreśliła, że wczas bardzo wkroczył do jego świadomości pewien czynnik abstrakcyjny - jakby skrót widzenia "część za całość". Pozostawiła też mnóstwo innych pochwał na temat zachowania się syna, jego rozumnych odpowiedzi, łatwego wystawiania się. Pochwalił się też Jaś przed p.



Profesor Maria Grzegorzewska - założycielka Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej - wychowawca wielu pokoleń nauczycieli, oddanych dzieciom specjalnej troski.

To ona powiedziała: "...Aby coś zdziałać wartościowego, trzeba być kimś wewnętrznym, trzeba mieć swoje własne życie, swój własny fundament przekonań, w coś gorąco wierzyć, czemuś gorąco służyć".

Grzegorzewską wierszem, bowiem "wyrecytował" Pana Twardowskiego - Adama Mickiewicza, z odpowiednią modulacją "Jedzą, piją, lulki palą... Ledwie karczmy nie rozwałą". Ta pierwsza zwrotka wprowadziła go w wybuch radosny i tym zachwycił p. Grzegorzewską. Aby zakończyć na wesoło wizytę zaśpiewał kantatę: "Panie Janie, panie Janie, rano wstań" i wtedy ojciec jak zwykle zresztą wtórował mu.

Popis Jasia był udany, egzamin wypadł nadzwyczajnie. Przy pożegnaniu dostał od p. Grzegorzewskiej ozdobny ołówek w etui.

Nasuwa się pytanie, co było z Dusią? Skoro już oswoiła się z osobą p. Grzegorzewskiej, a chcąc zwrócić na siebie uwagę (bo cały czas Jaś był tematem), ona zdecydowała się na odwagę, pozbiierała swe lalki i złożyła je na kolanach gościa. Pani Grzegorzewska wzięła każdą do ręki, zapytała jak ma na imię, pocałowała w główkę i kazała je ułożyć w łóżeczku, które parę razy poruszyła. Był to miły i ciekawy obrazek, że p. Grzegorzewska umiała rozmawiać z dziećmi. Interesowała się zawsze postępami Jasia.

W tym okresie wychowanie Jasia nie nastroczało nam trudności. Muszę dodać, że w naszym domu przebywało moje rodzeństwo: siostra Janka, która uczęszczała do Instytutu Gospodarstwa Domowego, i brat Czesław, który jeździł do renomowanej szkoły zawodowej w Pruszkowie, prowadzonej przez Stowarzyszenie Mechaników Polskich w USA. Obydwoje byli nam bardzo życzliwi i wdzięczni, że mogłam ich zabrać z domu rodzinnego na dalsze kształcenie. Pomagali mi w opiece nad dziećmi podczas naszej nieobecności.

Weszło w zwyczaj, że po kolacji ciocia opowiadała im bajki, a brat Czesław wnosił do domu (z racji swojej nauki) młotki, gwoździe, kowadełko, obciążki i inne narzędzia, które mocno intrygowały Jasia, gdyż mógł za przyzwoleniem wujka używać tych narzędzi. Każdy więc dzień miał Jaś wypełniony różnymi zajęciami, bo zostawialiśmy mu zawsze jakieś polecenie, czy jakąś czynność do wykonania. Brat hodował też króliki i wspólnie z Jasiem karmił je codziennie. Ponadto Jaś opiekował się kanarkiem Maciusiem, kotką Mamrotką i zabierał pieska Smyka, małego foksteriera, gdy wychodził z babcią na codzienny spacer. Zajęć miał więc sporo i obowiązków też, z których wywiązywał się nad podziw dobrze.

Naszym zdaniem dzieciństwo miało bogate zarówno w sensie czułej opieki, jak również dostatku materialnego, na jaki nas było wtedy stać. Żyliśmy, można rzec, na średniej stopie, a dzieci były na pierwszym miejscu. Miały dostateczną ilość zabawek, ciekawych książ-

żeczek. Prenumerowaliśmy dla nich "Świerszczyk", "Płomyczek". Były już wtedy w domu atlasy zwierząt, ryb, gadów, a przede wszystkim dzieci żyły w pełnej rodzinie, której członkowie współdziałali pozytywnie w ich wychowaniu, strzegli ich całości, wpływali optymalnie na rozwój osobowości, odgrywając w ich życiu dużą rolę kształcącą.

Każdy z nas otaczał dzieci jak najtkliwszym, najcieplejszym uczuciem i ten pierwszy etap rozwojowy miał jak najwięcej cech dodatnich. U podstawy była miłość rodzicielska i ona przede wszystkim kształtowała stosunki w rodzinie.

Zgrana i harmonijna wieloosobowa rodzina dawała dzieciom wszechstronne zainteresowania i zaspakajała ich potrzeby, korygowała ich zachowanie. Ład, spokój, ogromną życzliwość, uczucie wnosił rodzice. Byli przez dzieci mocno kochani, wzruszająco oczekiwani. Turkot pociągu, którym wracali rodzice, wprawiał cały dom w małe napięcie. Dzieci wyglądały oknem, czy już idą, babcia zalewała wrzątkiem ziemniaki, by były świeżo ugotowane, dziewczyna porządkowała ubranka dzieci, myła buźki i rączki, a one zbierały rozrzucone zabawki. Nakrywano do stołu i z drżeniem czekano otwarcia drzwi, by znaleźć się w ramionach ojca i w uściskach matki. Letnią zaś porą dzieci wychodziły naprzeciw ojcu i matce.

Ojciec był czynnikiem wyzwalającym ich pełną radość i w sposób niewidoczny górował autorytetem nad całą rodziną. Swym kulturalnym podejściem zobowiązywał wszystkich do takiego samego postępowania. Mimo swej łagodności i miłości był konsekwentny w działaniach wychowawczych. Nie pozwalał na "wybryki", a dzieci też nie pozwalały sobie na groźniejsze wykroczenia, bo nie sposób było zasmucać tak dobrego i kochanego ojca czy matkę.

Wzrastał więc Jaś w atmosferze sprzyjających mu warunków, był przygotowany dobrze do przyszłych zajęć w szkole. Cieszył się też bardzo, że będzie miał kolegów, już się zaprzyjaźnił z sąsiadem Tarasiewiczem, z którym miał siedzieć w jednej ławce.

Do zapisu poszedł z ojcem, wyrównałam mu grzywkę jasno-blond włosów, obciąłam na pazia, włożyłam aksamitne, granatowe ubranko, przypięłam kołnierzyk biały i zawiązałam szkocką kokardę. Byliśmy zachwyceni urokiem syna, toteż zebrał wiele pocałunków na drogę od wszystkich członków rodziny.

Poszedł do szkoły tak zwanej "kolejowej", bo gmach był na osiedlu kolejarskim za torem. Został oddany w ręce starszej pani nauczycielki (o ile mnie pamięć nie myli nazywała się p. Grodecka). Pierwszy i

drugi dzień nie zaznaczył się niczym szczególnym. Wysyłaliśmy po niego dziewczynę. Wracał z Tarasiewiczem, żywo z nim rozmawiając.

W trzecim dniu przyniósł karteczkę, by się ojciec zgłosił do szkoły. Indagowaliśmy go na wszystkie strony o przyczynę wezwania, wówczas zażartował sobie z nas, że był wyrzucony za drzwi, że klęczał za tablicą. Wiedzieliśmy, że zmyśla, bo temu towarzyszyły jakieś rozradowania i wspomnienia niekłańskich rozmów nauczycieli o niesfornych dzieciach, ale też głęboko czaił się strach, co nam przyniesie ta karteczka.

Okazało się, że Jaś jest zaawansowany poziomem wiedzy do klasy drugiej, gdyż czyta i rachuje. Wiedzieliśmy przecież o tym, ale nie spodziewaliśmy się takiej konsekwencji. Miał już 7 lat, był dojrzałym uczniem, by zasiąść w drugiej klasie.

Decyzję p. Grodeckiej przyjęliśmy z mieszanymi uczuciami, ale z pewnym zadowoleniem, że "przeskoczył" jeden rok nauki. Oczekiwaliśmy z niecierpliwością, czy da sobie teraz radę. To były nasze obawy, a Jaś zupełnie był rozgoryczony, gdyż musiał rozstać się z kolegą i wejść jako obcy do nowego zespołu.

Przyjął go nauczyciel, p. Sieradzki, cokolwiek zdeterminowany, że dostaje "maminsynka" z rodziny nauczycielskiej. Już w pierwszym dniu pobytu w klasie drugiej wykazał się dobrym czytaniem, ale zbyt powolnym odpisywaniem z tablicy. Nie zdążył zanotować treści napisanej. Miał więc dużą lukę w technice odrabiania lekcji. Przeżywał na swój sposób małą katastrofę, bo dotychczas nie miał żadnych porażek. Również nie bardzo podobał mu się pan wychowawca, który gromkim głosem popędzał uczniów, by szybciej pisali lub krzyczał o spokój, gdy wszczynał się hałas. Ten hałas początkowo i Jasiowi przeszkadzał. Wracał jakby trochę roztrzęsiony i dopiero w domu dochodziło do jakiejś normy. Aby mu pomóc w technice pisania, odłożyliśmy wszystkie inne zajęcia i dodatkowo zaczęliśmy jakby kaligrafię: polecał mi pisanie 10 razy krótkiego zdania. Za pozytywne wywiązanie się z nałożonego zadania otrzymywał obietnicę wyjścia z ojcem na spacer lub inną przyjemność. Starał się więc bardzo, ale trwało to ze trzy miesiące zanim średnio wyrównał tempo.

Przyszło półroczce. Odetchnęliśmy mocno, bo Jaś przyniósł świadectwo bardzo dobre i ta pierwsza ocena jego pracy uspokoiła nas, że staje się normalnym uczniem.

Interesował się zajęciami praktycznymi w szkole, rysował już obrazki rodzajowe (więcej szczegółów uwzględniłam), w domu zaś czytał pisemka, oglądał atlasy. Ręka stawała się również coraz sprawniej-

sza, z tym że musiał więcej czasu temu poświęcić, by i pismo było staranne, o co zabiegaliśmy od początku, by go przyzwyczaić do estetycznego wyglądu wypracowania.

Poświęciliśmy mu dużo czasu, by się nie nudził, obmyślaliśmy mu zajęcia, podsuwaliśmy pomysły, by sam wybierał dla siebie coś odpowiedniego.

Gdy Jaś poszedł do szkoły, Dusi nagle zabrakło jego obecności. Chciała też pójść do szkoły. Idąc z nią obok przedszkola, zauważyliśmy, że zwraca baczną uwagę na dzieci bawiące się w piaskownicy i idące na spacer parami. Wobec tych jej chęci zdecydowaliśmy się zapisać ją na próbę do "średniaków". Zupełnie dobrze się tam czuła, szybko się zaaklimatyzowała, więc dom zwolnił się na parę godzin z ostrego dyżuru nad dziećmi, ale dziewczyna lub babcia wychodzili po Jasia, gdyż droga prowadziła przez tory kolejowe. Innym razem po Dusię szedł Jaś z kimś z najbliższego otoczenia. Oboje zresztą czuli się dobrze wśród dzieci, nie sprawiali żadnych trudności, a nauczyciel czy przedszkolanka byli dla nich autorytetami. I to nas bardzo cieszyło. Dom zaś wyrównywał dostrzeżone niedostatki tego wieku, dozbierał do życia w rodzinie.

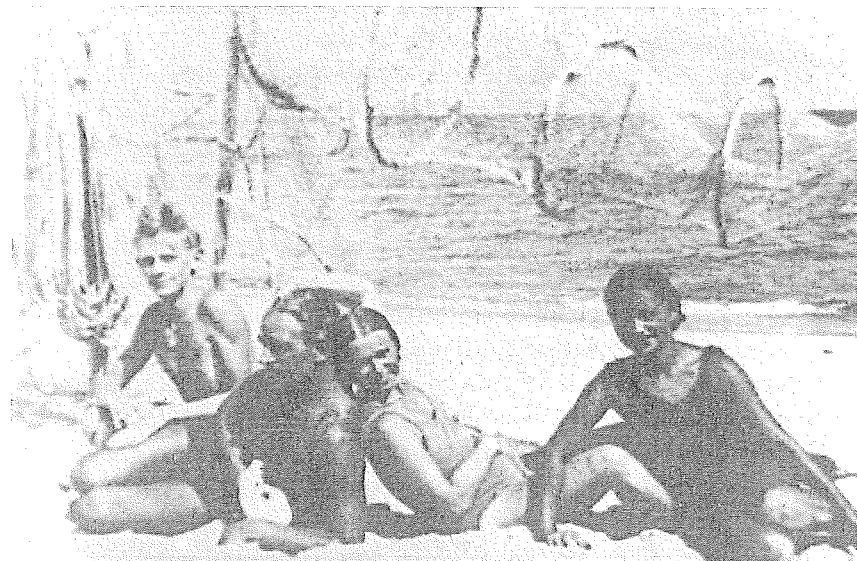
Drugą klasę ukończył Jaś, będąc na koniec w czołówce klasowej. Mógł się popisać pamięciom wierszy, płynnym na ogół czytaniem, swobodą w opowiadaniu przeżyć dziecinnych, przewodnictwem w zajęciach praktycznych. Był usłużny, dokładny, systematyczny, porządny. Zeszyty miał czyste, bez plam i zagięć. Ubranko zawsze schludne - zadbane.

Wakacje były zasłużone. Pojechaliśmy nad morze, do Jastarni. Zamieszkaliśmy w chacie rybackiej nad zatoką. Przebywanie stale z rodzicami, wycieczki brzegiem morza aż do Juraty, kąpiele morskie, nauka pływania pod okiem ojca, to były emocje budzące ich wyobraźnię i wzmacniające fantastyczne przeżycia. Ojciec płynął kajakiem z Dusią, a Jaś obok. Zatoka spokojna. Było widać dno. Z drugiej strony płynęła matka i tak było wiele razy.

Jaś pływał już bez strachu, a Dusia "paplała" się blisko brzegu. Gdy się zmęczył, budował fortecę z piasku, otoczył ją fosą z piasku, doprowadził wodę morską, budował tamy.

Obok nas mieszkali koledzy nauczyciele, też z dwojgiem dzieci, które z miejsca przylgnęły do nas, bo nasz ojciec był cały oddany dzieciom* i wymyślał różne inne zabawy, gry, czy też ozdabiał frywolnie

* Gdy myślę o mocnym ogniwie spajającym nasze życie rodzinne, to posta-



Jastarnia - sierpień 1934 r.

ich grajdołki i śmieszne rysował wizytówki. Raz powiesił im szprotki, innym razem ślimaczki (ciastka), lub zasypywał piaskiem grajdołek, by znowu pracowały, zbierały kamyczki do ozdoby.

Wakacje były radosne, bardzo udane. Jaś oglądał wyjazd kutrów na połów i widział wyladunek ryb, zwiedził też wędzarnię, przegrał nawet parę złotych w stojących obok mola automatach - szafkach, ale wczas się powstrzymał, by nie stracić wszystkich pieniędzy, jakie miał do dyspozycji od ojca. Wszyscy się opalili ładnie, a on wcale, mimo że przebywał na słońcu, nawet stracił na wadze, widocznie za dużo siedział w wodzie. Zbiedniał cośkolwiek, ale miał humor. Był ożywiony i potężniał umysłowo, przekraczał poziomem wiadomości swoich rówieśników.

Poszedł do trzeciej klasy śmiało, dzieląc się wrażeniamiorskimi. Rozdawał kolegom muszelki, kamyczki gładziuteńkie i pokazywał drobne bursztyńki. Miał kupioną mewkę i malutką kałczukową

wa ojca zaważyła na osobowości Jasia, na jego myśleniu, charakterze. Ojciec oddziaływał pozytywnie na wszystkich członków w rodzinie, syn przejął postawę poważnego prowadzenia życia od ojca, a od matki wesołe usposobienie i dar zamilowania do opowieści.

łódeczkę, która doskonale trzymała się na powierzchni wody i nie tonęła. Z tą łódeczką robił w wannie doświadczenia.

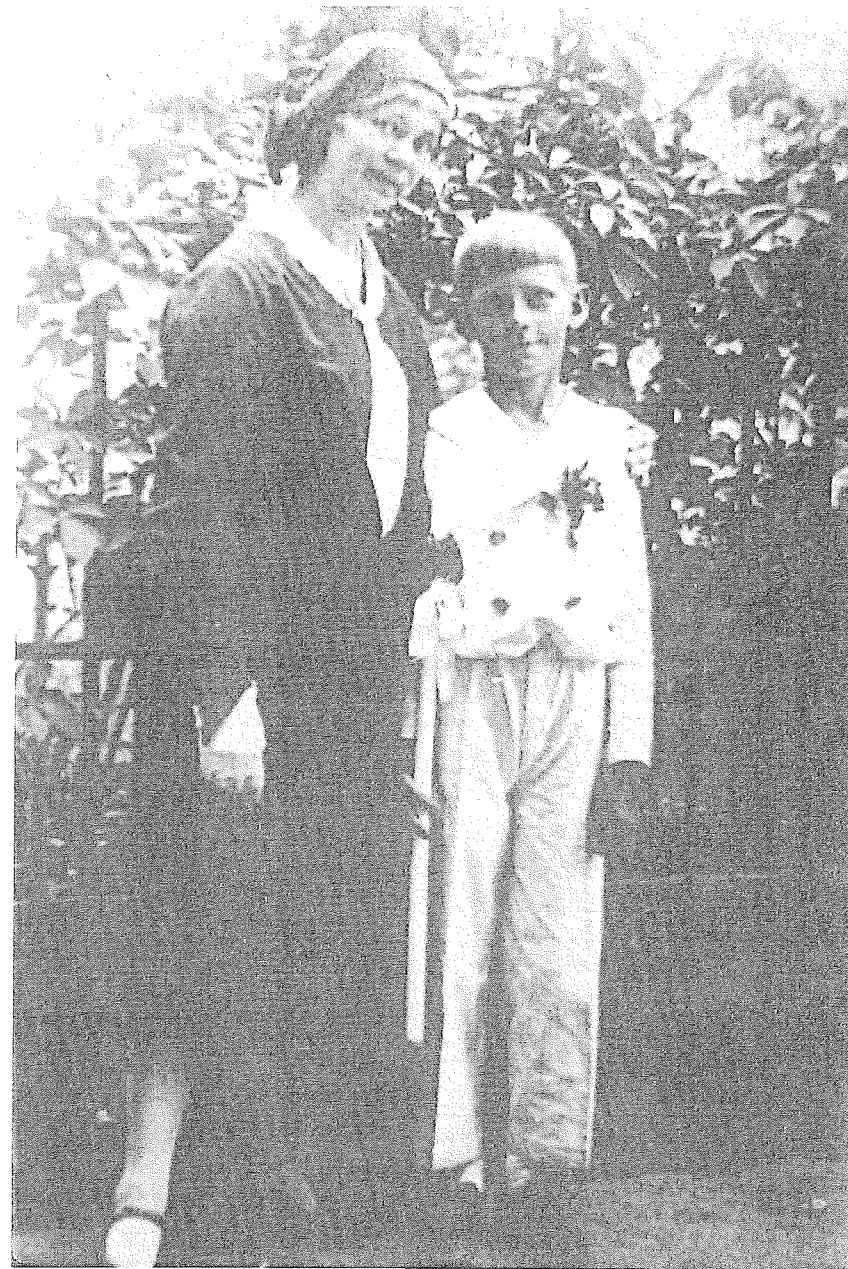
W klasie trzeciej został wybrany gospodarzem klasy. Był prawą ręką wychowawcy. Na wywiadówce nauczyciel mało skarżył się, że ma z nim jakiegokolwiek kłopoty. Kazał nawet przyhamować jego "rozczytywanie" (bo jest zasypywany pytaniami) i nie może mu poświęcać za dużo uwagi. Zdaniem nauczyciela Jaś wyrastał ponad ogół uczniów i właściwie powinien się znaleźć w zespole uczniów silniejszych, na przykład w Warszawie. Poza tym, jak powiedział uczący go nauczyciel, jest układny, pilny, ale też męczący, z ciągłym niedosytem wiedzy, co sprawia, że zadaje nauczycielowi nieustannie pytania, a tym samym odrywa nauczyciela od tematu tak, że ten w końcu musi na niego krzyknąć: "siedz wreszcie cicho". To z kolei upokarza ucznia i jest on niezadowolony. To wszystko przesądza sprawę - miejsce ucznia powinno być w szkole warszawskiej, nie zaś w Piastowie. Paru takich chłopców jeździ już do Warszawy, powinien i on chodzić do prywatnej szkoły, gdzie jest więcej zajęć i mniej więcej wyrównany poziom.

Wobec takiej opinii zaczęliśmy się "ogłądać" za dobrą szkołą w Warszawie, mimo że nastęczało nam to dużo kłopotów m.in. z odwożeniem go koleją, wczesnym zrywaniem ze snu, trudami codziennej podróży, ale wiedzieliśmy już, że nie satysfakcjonuje go pobyt w tej szkole*.

W Warszawie odbywały się co pewien czas konferencje kierowników i lekcje metodyczne w przodujących szkołach, o dobrej obsadzie nauczycielskiej, mających wypracowane metody dydaktyczne i duże efekty wychowawcze.

Taką szkołę spotkaliśmy na Czerniakowie, przy ulicy Zagórnej 9. Zespół nauczycielski był wysokiej klasy, budynek szkolny jasny, przestrzenny, gabinety i pracownie dobrze zaopatrzone. Przy szkole był duży ogród, prowadzony pod nadzorem Wydziału Oświaty i Magistratu Miasta, uwzględniający program szkolny z zakresu przyrody, biologii, z którego to programu korzystały inne szkoły. Dojazd do szkoły okazał się wygodny, bo tramwaj biegł od Dworca Głównego na Powiśle.

* Rozwijał się prawie w oczach, posiadał spory zasób wiedzy jak na jego 9 lat i nie ustawał w pogoni za coraz ciekawszymi książkami. Zdumiewającą miał pamięć, łatwą wymowę i od dzieciństwa ciekawość świata



Warszawa - VI.1929 r.

Budynek szkolny tonął w kwiatach, więc postanowiliśmy tutaj Jasia umieścić. Świadectwo z klasy trzeciej otrzymał znowu bardzo dobre, więc pożegnaliśmy definitywnie szkołę w Piastowie.

Na wakacje wyjechaliśmy do Zakopanego, już drugi raz*, gdzie mieszkała moja siostra. Mąż jej, w stopniu kapitana, był kwatermistrzem w sanatorium wojskowym w Kościelisku.

Warunki mieliśmy wspaniałe, wczasy wprost bajkowe. Wyżywienie sanatoryjne, otoczenie, przyroda, góry i środowisko - wszystko ponad marzenie. Kuracjusze (z rodzin wojskowych) urządzali atrakcyjne wycieczki, w których braliśmy udział.

Jasiowi towarzyszyła Zdzisia, o rok młodsza córka siostry - jedy-naczka, trochę od niego wyższa, bardzo urodziwa i dobrze wychowana. Przyłgnęli szybko do siebie, zaprzyjaźnili się tak dalece, że od tego czasu Zdzisia każde wakacje spędzała z nami ("zakochana" też była w wujku Bytnarze) i na każdą przerwę świąteczną przyjeżdżała do

Za pierwszym razem przeżyliśmy przygodę bardzo przykrą. Jaś miał wtedy piąty roczek. Do pociągu w Warszawie wsiedliśmy jakoś bez zbyte-niego trudu, ale trzeba się było przesiąść w Krakowie, bo wówczas nie było bezpośredniego połączenia.

Na stacji w Krakowie duży ruch, bo był to szczyt wyjazdów. Na peronie tłum oczekujących na pociąg. Ojciec zamówił tragarza, by zajął nam miejsce w wagonie, sam dźwigał walizki. Ja natomiast mogłam wejść z dziećmi dopiero jak się pasażerowie "uplasują" w pociągu. Trzymałam Dusię jedną ręką, a w drugiej miałam pudełko łubiane z kapeluszem dla siostry, przewiązane paskiem, za który trzymał się Jaś. Pociąg wtoczył się na peron, tłum zafalował, ja zaś bacznie patrzyłam, gdzie wskoczy tragarz. Kiedy już i ojciec wskoczył do wagonu, ja podeszłam do stopni, chcąc najpierw Jasia podnieść, a tu okazuje się, że Jasia nie ma! Strach mnie z miejsca "obleciał", oddałam ojcu Dusię, a sama rozglądałam się po peronie "tu i tam", biegając wzdłuż pociągu. Niestety. Nigdzie nie było Jasia! Wracalam wystraszona, zaniepokojona straszliwie do męża, mówiąc, by go dalej szukał wśród pasażerów. Gdy go nie znalazł, zawiadomił dyżurnego ruchu, by obwieścił przez megafon zgubę. Za chwilę rozległ się głos w megafonie: "Zginął mały chłopczyk - blondynek, w granatowym ubrańku. Rodzice na peronie pociągu do Zakopanego rozpaczają". Za minutę miał odjechać pociąg, mieliśmy już zamiar wysiadać, a tu przed wagonem "defiluje" wózek z paczkami. Na szczycie stoi Jaś zapłakany, roztrzęsiony.

Dyżurny spotkał go przy lokomotywie, obserwującego pracę i przeprowadzającego dialog z obsługą. Kiedy się uspokoił trochę, zapytaliśmy, co robił, gdzie poszedł? Odpowiedział, jeszcze szlochając: "maaszyynna". Mieszkaliśmy niedaleko toru w Piastowie, widział przejeżdżający pociąg, ale nie mógł zaobserwować pracy lokomotywy. Gdy zobaczył lokomotywę wyjeżdżającą - zapomniał o całym świecie, "puścił" się pędem, by ją zobaczyć z bliska. Tak więc zdobywał doświadczenia, a my też mieliśmy nauczkę, by go pilnować, bo nie wiadomo, co zrobi.



Zakopane - lipiec 1929 r.



Na Hali Gąsienicowej. 27.III.1937 r.

Warszawy. Później uczęszczała do gimnazjum ss. Urszulanek w Krakowie. Gdy Jaś złożył egzamin dojrzałości, wysłał jej fotografię maturalną z podpisem: "Pani mego serca - Jaś"* i zaproszenie nad morze.

Warunki górskie wpłynęły bardzo dodatnio na stan fizyczny Jasia. Tak podbudowany, zaczął z nami jeździć do Warszawy koleją i udawać się tramwajem na Zagórną 9, gdzie rozpoczął naukę w klasie czwartej, rozpoczynając równocześnie dziesiąty rok życia.

Jako rodzice spostrzeżliśmy już, że Jaś interesuje się przyrodą i pośrednio matematyką. Zdumiewała nas niezwykła jego wyobraźnia, zdolność obserwacji, tworzenie oryginalnych sądów, inteligencja. To wszystko budziło w nas szaloną radość, ale też niepokój, czy dobrze nim kierujemy. Byliśmy świadomi, co znaczy w życiu dziecka dobra szkoła, która razem z dzieckiem kształtowała mocny charakter i dała mu pokazną sumę wiedzy.

Wiedzę o dziecku zdobywaliśmy na studiach, w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Powodując się decydującymi czynnikami, jak miłością do dziecka w ogóle i miłością wyższych wartości, zrozumieliśmy odpowiedzialność za wychowanie, również naszego Jasia.

Lektura dzieł pedagogicznych: Ellen Key, Deweya, Adlera, Rowida, Decrol'ego i wielu innych dzieł, oddały nam duże usługi w pracy nad wychowaniem własnych dzieci i innych, bo byliśmy z zawodu nauczycielami żądnymi coraz to nowych osiągnięć i poszukiwania właściwych metod wychowawczych.

Zakładaliśmy sobie, że Jasia oddamy do takiej szkoły, która będzie posiadać w programie wszystkie elementy szkoły twórczej, to znaczy, aby był kształcony według wymagań doby współczesnej i aby w perspektywie stał się wysoce produktywnym członkiem społeczeństwa.

Zazwyczaj przyjeżdżał Jaś do szkoły kilkanaście minut przed ósmą, więc zachodził do ogrodu szkolnego, gdzie spotykał nauczyciela od przyrody**, a zarazem kierownika tego ogródka. Ponieważ Jaś przejawiał zainteresowania przyrodnicze, wkrótce więc zaprzyjaźnił się wielce z nauczycielem.

Tutaj więc zdobył Jaś pierwsze ostrogi przyrodnika. W rękach jego zaczęły się "zjawiać" atlasy przyrodnicze, książki dotyczące tego przedmiotu. Zaczął też zaglądać do encyklopedii, założył zielnik, akwarium. Miał ukochaną kotkę, foxteriera i kanarka. Czytał dużo

*.. Fotografia zachowała się u niej do tej chwili.
pana Jankowskiego



Warszawa, 30.XII.1935 r.

książek Dyakowskiego, Dygasińskiego, Ejsmonda i inne, jak Halpernowej, traktujące o życiu roślin i zwierząt*.

Równocześnie rósł u niego zapal do ciekawych liczb, działań, do rebusów i szarad rachunkowych. W "Płomyczku" rozwiązywał zagadki z tego zakresu.

Dojazdy koleją zaznajamiały go z rozkładem jazdy. Rodzicom wyjeżdżającym na wycieczkę naukową do Austrii przygotował szczegółowy plan podróży.

Do nauczycieli odnosił się z wielkim szacunkiem. Nauczyciela przyrody, pana Jankowskiego, wprost uwielbiał. Nazywał go żywą księgą wiedzy przyrodniczej. Polubił również wychowawczynię czwartej klasy, panią Filipowiczową. W swej pracy poświęciła mu wiele uwagi, bo też zaciekawił ją ogromnie ten chłopiec pełen optymizmu i entuzjazmu, podejmując ochoczo dodatkową pracę dla klasy. Zastanawiała ją precyzja z jaką wykonywał roboty ręczne, m.in. haftując serwetki. Na wystawie na końcu roku szkolnego wiele eksponatów klasowych było dziełem Jasia. Ona też wytypowała go do gimnazjum.

Należy wspomnieć, że jej kultura osobista, wspaniały talent pedagogiczny miały duży wpływ na jego późniejsze myślenie i postępowanie. Z tej szkoły wyniósł zamiłowanie do samodzielnych badań zjawisk przyrodniczych i duże zainteresowania kulturalne. Szkołę tę zawsze wspominał z rozrzewnieniem**.

* Rozczytywał się też w zagadkach przyrodniczych i nimi bulwersował otoczenie czy też później ożywiał zbiórki harcerskie, gdy prowadził drużynę w szkole podstawowej na Zagórnej.

Na przykład, zadał nam pytanie: Do czego kotu potrzebny ogon? Wysłaliśmy się by trafnie odpowiedzieć. Mówiliśmy i to, że kot bez ogona nie byłby kotem, na co on miał zaraz odpowiedź, mówiąc, że w Australii żyją koty bezogonowe. Dostaliśmy więc wszyscy po "nosie", bo przecież kot "ogonem steruje" - powiedział, gdy "spada" z drzewa (polując na ptaki) czy też z dachu.

W przygotowaniach do zbiorów zapoznawał harcerzy z grami ruchowymi. Najpierw je "przerabiał" w domu z nami i nieraz nam się oberwało porządnie na tych próbach na przykład w grze "miotelka skacząca". (W środku koła jeden trzyma miotłę lub szczotkę i nią zmiata po nogach stojących na obwodzie koła. Aby uniknąć uderzenia, trzeba podskoczyć do góry, czyli wszyscy skaczą).

** Zainteresowanie przyrodą sprawiło, że Jaś obserwował w domu roślinność doniczkowych. Miałam ich dużo, dbałam o nie, podsycałam "florą", zraszałam.

Jaś pomagał mi je wynosić na balkon by je umyć (liście fikusa). Kwiaty były okazałe. W pokoju jadalnym były dwa filodendrony, ładnie rozroś-

Były to czasy, kiedy po czwartej klasie trzeba było zdecydować za ucznia, czy ma kończyć szkołę podstawową, czy pójść do gimnazjum.

Najlepsi uczniowie szkoły na Zagórnej (której kierownikiem był doskonały pedagog, pan Wójcik) kierowani byli do gimnazjum im. Stefana Batorego, przy ulicy Myśliwieckiej 6.

Na zapleczu Parku Ujazdowskiego stał reprezentacyjny gmach, w pięknym ogrodzie, mający na owe czasy i dziś też luksusowe warunki, bo miał czynną nawet w zimie pływalnię.

Szkołę powołano do życia uchwałą pierwszego Sejmu Ustawodawczego jako pierwszą szkołę w Polsce Niepodległej, mającą kształcić młodzież na najlepszych wzorach Komisji Edukacji Narodowej i patriotycznej tradycji.

Dostać się tam było bardzo trudno: szkoła była zastrzeżona dla synów "górných sfer" lub uczniów wybitnie zdolnych, zdających wstępny konkursowy egzamin.

Pokusiliśmy się wyzwać los, bo gimnazjum miało kierunek matematyczno-przyrodniczy, a w tych przedmiotach Jaś celował. Zresztą Jasiowi nie były obce nawet konkursy, bo w "Płomyczkowych" zawodach brał skuteczny udział. Zapalił się do egzaminu. Trzeba podkreślić, że miał już wtedy zadatki odwagi cywilnej. Lubił zawody intelektualne. Nie peszyły go pytania. Posiadał niezłą koncentrację myślową i zastanawiające opanowanie. Stał do tej "rozgrywki" wspólnie z rodzicami, którzy też postawili przed nim i swój prestiż nauczycielski.

Egzamin trwał pięć dni łącznie z badaniem inteligencji testami Bineta. Z testami był Jaś obznajomiony, bo rodzice czasem przeprowadzali nad nim w domu badania. Z przyrody wyprzedził już program wiadomościami i odczytaniem, znał wiele tajemnic przyrodniczych. Na

nięte, sięgające sufitu. Był duży fikus, aranakaria i amarylis, zwany popularnie adwokackim językiem. Miał purpurowe kwiaty. Po przekwitnięciu zostawały na lodydze okrągłe, zielone kulki. Było już ich kilkanaście. Kiedyś przy obiedzie, rzuciwszy okiem na kwietnik (ot tak głośno pomyślałam, czy będą w tych owocach nasiona), wówczas z miejsca Jaś powiedział: "ależ tak, mamusi!". "A skąd ty to wiesz?" "Bo ja je zapłodniłem". Zaniemówiłam, słysząc taki termin w ustach 10 letniego chłopca. Ciszę przerwał ojciec i jak zwykle delikatnie go zapytał: "a jak to, Jasiu, zrobiłeś?" "Tatusiu, zwyczajnie. Wziąłem ołówkiem pyłek z pręcików i przeniósłem na słupek i to wszystko".

Tak rósł mały badacz, który, korzystając z nauki, już przeprowadzał doświadczenia. Rzeczywiście, owoce dojrzały, Jaś nasiona zasadził i dochował się pięknej rośliny. A my zdumiewaliśmy się nad jego rozwojem, zainteresowaniami, śledzeniem życia - badanym już tak wcześnie.

egzaminie ustnym dosłownie oczarował profesora Radwańskiego inteligentnymi wypowiedziami, zwłaszcza znajomością roślin w ogrodzie szkolnym. Profesor Radwański - można rzec, wprowadził go do tej uczelni - do szkoły, z której wyniósł bezcenne wartości.

Egzamin z matematyki i z języka polskiego był nawet chlubny, bo szybko rozwiązał zadanie rachunkowe i mógł po oddaniu zaraz "wyskoczyć" na korytarz, do matki, z zadowoleniem, że "zagadnienia były bardzo łatwe". Temat z języka polskiego był ciekawy - wyświetlano część jakiegoś filmu i należało go uzupełnić i wysnuć zasadniczy tytuł. I w tym przypadku odczytany Jaś poradził sobie, bowiem wypracowanie jego należało do najlepszych.

Wszystko się powiodło niespodziewanie - Jaś tryumfował. Dostał więc zaraz granatowy mundur, na głowę "rondelek" i tarczę "chlubę Batoraków", bo na tarczy była jedynka (pierwsze gimnazjum).

Był więc w pierwszym państwowym gimnazjum w Warszawie. Uciechy, radości i wesela było w roku szkolnym 1931/32 bardzo dużo.

W międzyczasie przenieśliśmy się z Piastowa, z ulicy Błękitnej 15*, do Warszawy i zamieszkaliśmy na Mokotowie, przy Alei Niepodległości 159, w bliskim sąsiedztwie Pola Mokotowskiego**, we własnym spółdzielczym mieszkaniu.

Tramwaj nr 9 dowoził Jasia z ulicy Rakowieckiej, przez Aleje Ujazdowskie, do ulicy Piusa, a stąd biegł pędem z górki do szkoły, na ulicę Myśliwiecką 6.

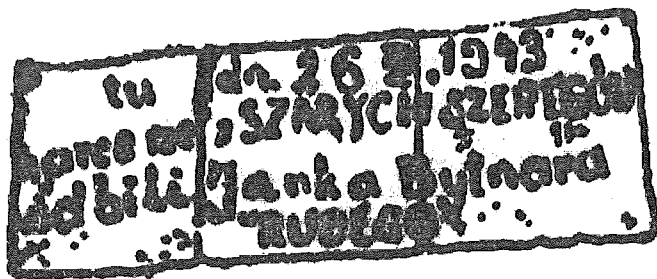
* Obecnie Axentowicza 2.

** Z pogadank koleżeńskich, kiedy przyszło wśród chłopców zainteresowanie markami samochodów - dowiedziałam się, że samochód prezydenta posiada numer pierwszy.

Przyszedł 3 Maja i jakaś uroczystość na Polu Mokotowskim. Mieliśmy bilety na trybuny (ojciec był w Legionach i z tej racji należał do Związku Legionistów i stąd te bilety), ale przy wejściu Jaś zatrzymał się z uporem, bo musi sprawdzić czy istotnie samochód prezydenta ma numer 1.

Tak! Doczekał się wjazdu samochodu, odczytał i odetchnął. W międzyczasie bramę zamknięto i na trybuny nie wpuszczano. Wobec tego prędko wróciliśmy do domu i z tarasu VI pietra naszego gmachu obserwowaliśmy przez lornetkę imprezę.

Sąsiedztwo Pola Mokotowskiego dało nam dużo przeżyć emocjonalnych. Razem z kolegami ze szkoły obserwował odlot Starzyńskiego, tryumf Hynka, Chalange o puchar Gordon Bennetta, biwakujące na Polu kolorowe balony, przylot zwycięski Żwirki i Wigury na samolocie RWD. Żył wtedy jak w transie, "porwany" ogólnym entuzjazmem.

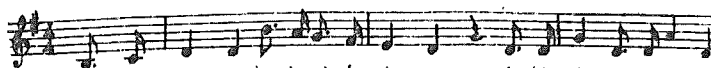


KALKON - SZCZEP "RUBIS"

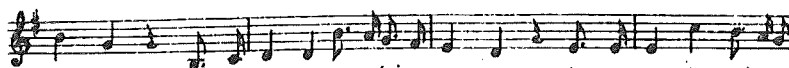
HYMN DRUŻYNY "RUDEGO"

melodia: Jacek Targoss

słowa: B.



1. Pod dru - ży - ny ko - cha - nej szan - da - rem, i - dziem ży - cie har - cer - sku
2. Nie prze - mi - nie wspomnie - nie mar - co - we, co - się w mu - ry wyło - ży - se



wia - ra, zło - żył z pra - cy oj - czyźnie o - fia - rę. A pro - na - dzi nas i - mię
- na - tu, co kra - pią - cym prze - bi - to się sto - wem. Przez czerni - sów - słyk w arid o - gnia



- na - ra, więc czu - waj dru - hu Prawdie słu - wuy - sił - ku wo - li mo - c
- dra - tu. Nam przy - szło two - rzyć ja - sne dni na - u - kę i - kę - ra - dę pra -



krój i - przy - trwał dę ze swych burz by - żył nasz u - ko - cha - ny kraj
ręk - spo - koj - nie w przyszłość byłem wali ci - świat w bra - ter - ski złą - czym kraj

Karta tytułowa I-szej Jednodniówki.

Wiosną i latem przebiegał parkiem, bo przecież śledził wegetację roślin i przynosił stamtąd wiele spostrzeżeń. Odbynał tę drogę przez park razem z ojcem, który był kierownikiem szkoły, usytuowanej też przy rogu ulicy Piusa. Wspólna, codzienna droga do szkoły, jeszcze bardziej cementowała ich wzajemną miłość, przyjaźń tak, że po pewnym czasie byli to już dwaj bliscy sobie koledzy. Opowiadali sobie wiele, dowcipkując, zawsze w pysznych humorach. Byli razem aż do końca... i razem aresztowani - obaj nie wrócili do żywych.

Postawmy teraz pytanie? Czym była szkoła im. Stefana Batorego w życiu Jasia? Była pełnym zadowoleniem, całą radością przeżyć, jakimś bezkompromisowym pędem do przekroczenia siebie w służeniu i wypełnianiu ochoczo regulaminu w sposób czysty i szlachetny. Właściwie to nie miał trudności żadnych, by im nie mógł sprostać.

Rozegrał też najważniejszą walkę, bo walkę o życie, stosując się w sposób konsekwentny do wskazań dr Janusza Korczaka**. Anemiczny przez okres dzieciństwa, teraz zaczął męźnieć fizycznie.

Jednym ze skutecznych sposobów był "zastrzyk" harcerek. Wstąpienie do drużyny harcerek na terenie gimnazjum przyniosło mu zdrowotne następstwa***.

*** Poza radością życia, zdobywał też ujemne doświadczenia, jak tylko się da, zwłaszcza dzieci.

Gdy skończył pierwszą klasę gimnazjalną (mając lat 11) otrzymał od ojca za dobre świadectwo 10 złotych monetę, bo marzył o takim aparacie - rodzaju fotoplastikonu, w którym można było zobaczyć parę widoczków Warszawy. Sklep był niedaleko, na Puławskiej. Poleciał zadowolony, ale wrócił rozdrażniony, roztrzęsiony cały i powiedział, że tatuś dał mu fałszywy pieniądz, który kupiec mu rzucił, dodatkowo obsypując wywiskami, od łobuzów i prawie wypchnął go ze sklepu.

Trzeba w tym momencie wyjaśnić, że ojciec dopiero co przyniósł pensję - był podatnikiem, pobrał pieniądze z banku, więc było to niemożliwe, aby ofiarował synowi fałszywą monetę.

Zrozumieliśmy sytuację... Kupiec-Zyd - zamienił monetę, podczas gdy Jaś sprawdzał aparat i krzykiem ogłuszył chłopca, "paraliżując" go całkowicie. Tak upłynął fałszykowi kupiec, oszukując dzieci, które nieświadome takich sztuczek, zapoznawały się z oszukaństwem, szachrajstwem, w sposób krzywdzący.

** Rodzice Jasia znali dr Janusza Korczaka z wykładów w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej.

*** Jaś rozporządzał dużym zasobem pieśni harcerek. Każde jego ognisko było rozśpiewane, każde spotkanie z kolegami kończyło się chóralnym śpiewem pod batutą Jasia. Był poszukiwanym i zapraszany do towarzysstwa, które dopiero po jego przybyciu ożywiało się humorem, śpiewało donośnie, a Jaś jako pierwszy "zapiewało" poddawał melodię. W gronie koleżeńskim miał wiele urozmaiceń i pomysłów.

Poszedł do klasy pierwszej gimnazjalnej z dobrym nastawieniem, bo egzamin wstępny był dla niego dobrą wróżbą i chęci w nim od pierwszej chwili były uskrzydłone.

Już w pierwszych miesiącach zauważył, że jest przedmiotem obserwacji. Profesorowie przyglądali mu się badawczo, gdyż jego praca domowa posiadała walory dokładnego przemyślenia i szczegółową analizę treści, tematu. Z każdym ciekawym wypracowaniem i sposobem wykonania dzielił się z rodzicami, dyskutował i w efekcie poszerzał zagadnienie o jakiś szczegół wyczytany z książki lub podsunięty przez domowników.

Szkołę z wszystkimi jej walorami prznosił do domu, a niekończące się wrażenia, opowiadania pełne były ciekawych treści, wzbogaconej w kryteria osobiste. W ocenach lekcji wykładanych wyrażał zawsze wiele szacunku do nauczycieli i był z najwyższym dla nich uznaniem, bo rozumiał ciężką ich pracę wychowawczą - patrzył przecież na ich nieraz "szarpaninę" nerwową, nasłuchiwał się utyskiwań swoich rodziców nauczycieli, stąd też może wywodziło się źródło najwyższego prestiżu dla autorytetu nauczyciela.

W życiu Jasia nauczyciele odegrali poważną rolę. Każdy z nich wpływem swym poruszał w nim utajone załączki i wydobywał umiejętnie intelektualne bogactwa. Trudno mi nawet powiedzieć w jakich przedmiotach nie celował, bo do każdej lekcji był starannie przygotowany. Na wstępie swej kariery szkolnej zbierał pochwały za uczynność, za gotowość przystąpienia i udziału w pracach o charakterze ogólnym, za wysokiej klasy koleżeństwo i później za mistrzostwo w pracach ręcznych. Wypracowania polskie cechował zawsze jakiś rys uczuciowy, tkliwy, oryginalny styl*. Profesor Młodożeniec był bardzo zadowolony z osobliwie ujętej tematyki. Miał również "pod ręką" wiele cytatów, złotych myśli i sentencji.

Profesor Gustaw Wuttke czynił zawsze zachwyt nad prowadzonym zeszytem do geografii, w którym były doskonale już wykresy, przemyślane zdobne mapki i ilustracje, świadczące o pracowitym poszukiwaniu, interpretacji tematu. Jeden z jego zeszytów, do geografii, zachował profesor i zabezpieczył wraz ze swoim dorobkiem nauko-

* Profesor Młodożeniec zadawał różnorodne prace pisemne i ustne, dla których Jaś musiał szukać informacji w encyklopedii, w historii literatury, gdyż powodowany ambicją starał się oddać pracę domową jak najlepiej opracowaną, według swych możliwości poszukiwania, zdolności ujmowania i chęci wyczerpania tematu. Dbał przy tym o zewnętrzną formę i ładny styl w pisaniu.



Jaś z "Małym" J. Masiukiewiczem.
Warszawa - maj 1942.

wym. Zeszyt odnaleziono gdzieś w piwnicy na Starym Mieście, po wojnie. Cud sprawił, że ten zeszyt nie spłonął w czasie Powstania Warszawskiego.

Na uroczystość 40-lecia Liceum Batorego profesor doręczył mi te pamiątki, które stanowią dziś dla mnie skarb najcenniejszy, bo jedyny dowód pracy szkolnej Jasia, gdyż wszystko, ale to wszystko, co było w mieszkaniu, wraz z gmachem spółdzielni, spłonęło doszczętnie w czasie wojny.

Przeglądałam z nabożeństwem karty zeszytu i oczom nie wierzyłam, tak był zeszyt starannie prowadzony. Świadczy o pracowitości i poważnym stosunku do przedmiotu. Podarowałam go Muzeum w Kolbuszowej, gdy na uroczystej sesji Miejskiej Rady Narodowej ogłoszono wniosek nadania jego imienia ulicy na nowym osiedlu. Ulicą Janka Bytnara w Kolbuszowej przechodzą teraz setki uczniów do gmachu Zespołu Szkół Zawodowych i do Liceum Ogólnokształcącego też jego imienia.

Z historią był Jaś też w ogromnej zażyłości. Kochał przeszłość Polski - rozczytywał się również w historii starożytnej. Przewertował



Mała powtórka prawa Gay-Lussaca w Szkole Budowy Maszyn im. Wawelberga (Tajna Politechnika). Warszawa - kwiecień 1941 r.

mitologię*. Pasjami czytywał powieści historyczne. Wszystkie tomy Kraszewskiego doczytał z niesłabnącym zainteresowaniem do końca.

Przyroda była jego "konikiem". Zawsze żywym i ciekawym przedmiotem. Zdobywał czas na pogłębianie wiedzy o niej i znajdował dla niej zawsze pierwsze miejsce w sercu.

Z matematyką i algebrą nie miał zbytniej trudności. Traktował ją jako dobrą gimnastykę dla "szarej substancji", zwłaszcza gdy go "śwędział mózg"... Wówczas brał parę ćwiczeń algebraicznych na lekarstwo. Cenił sobie wielce książkę "Lillavati", nad którą ślęczał moloznie całe wieczory, wydzierając powoli tajemnice rachunkowe, a temat był fascynujący: sto tysięcy zagadek, żartów, artymografów, szarad - **to było jego uroczne szaleństwo.**

Pasjonowały go także języki obce. Wcześniej, bo od trzeciej klasy szkoły powszechnej, zaczął się uczyć języka niemieckiego. Wynikało to stąd, że gdy rodzice chcieli sobie przekazać w tajemnicy jakiś "niecenzuralny" zwrot, ale najczęściej sprawy dla nich ważne, mówili ze sobą po niemiecku.

Jana Parandowskiego.

Zdobywał szybko sprawność w tym języku (okazał mu się bardzo potrzebny, gdy szedł na akcję w czasie okupacji), był wytrwały i uparty w działaniu*.

Pracowicie spędzał pierwsze lata w gimnazjum, uprawiał różne sporty: dobrze pływał, jeździł na nartach, łyżwach, grał w szachy**, uczył się też gry w tenisa. Jeździł też na rowerze, bo za wybitną pracowitość i sukcesy szkolne dostał piękny rower z angielskimi balonami - szczyt marzeń i zazdrości kolegów. Wszystkie te "sprzęty" były utrzymane w nienagannym stanie - wysmarowane i wyczyszczone.

Rower był dla Jasia ziszczeniem marzeń podróźniczych - niedzielne wędrowki całej rodziny rowerami były znane w naszej spółdzielni mieszkaniowej.

Najpierw ojciec był przewodnikiem, potem Jaś buszował po województwie z mapnikiem i ciągnął rodzinę po ciekawych uroczyskach. Włóczęgi te były wstępem do późniejszych wycieczek harcerskich, na które młodzież tak chętnie z nim wyruszała.

W ostatnim roku szkolnym 1938/39 uczęszczał na kurs przewodników Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego***.

Traf chciał, że chodził trzy lata do pierwszej klasy gimnazjalnej. Ówczesnym ministrem oświaty był Wacław Jędrzejewicz, który w

W gimnazjum był język francuski. Dodatkowo Jaś brał prywatnie lekcję konwersacji francuskiej. Uczyl się razem z kolegą Krystynem Olszewskim. Lekcji udzielała im pani Cybulska - Francuzka - żona znanego aktora filmowego.

W czasie okupacji pobierał lekcje języka angielskiego u pani Zawadowskiej - Matki Andrzeja "Grubego" - bohatera z książki "Kamienie na szaniec". Jeździł na Żoliborz wczesnym rano, bo rozpoczynał lekcje o 7.00 - 7.50. Z dużym zadowoleniem, nawet pewną satysfakcją, wzbogacał swe wykształcenie.

** W szachach - Jaś może wtedy 12-letni, osiągnął mistrzostwo w rodzinnych rozgrywkach, a w gromadzie rówieśników był nie pokonany, a zdarżyło się, że grał na 2 stolikach, mając do rozegrania dwie partie, z sukcesem. Był bardzo skupiony, niczego nie czynił bez namysłu, gruntownie rozważał "za i przeciw" i zwykle podejmował właściwą decyzję.

*** Muszę wspomnieć, że nie tylko rowery posiadała cała rodzinka, ale również łyżwy i narty. Bywały dni uroczyste, kiedy właśnie razem wybierali się na ślizgawkę do Doliny Szwajcarskiej, w okolicy Alei Ujazdowskich. Tam przychodziło towarzystwo - rzec można - wytworne. Wstęp był drogi, bo muzyka przygrywała, palily się kolorowe lampiony. Było cudownie. W takt melodii płaśalo się ze skrzyżowanymi rękami, jeździło parami, ja z Jasiem, ojciec z Dusią. Również były w naszym życiu uroczne zimowiska w Zakopanem, w Rajczy, gdzie "szusowaliśmy" ze szczytu Muńcała.



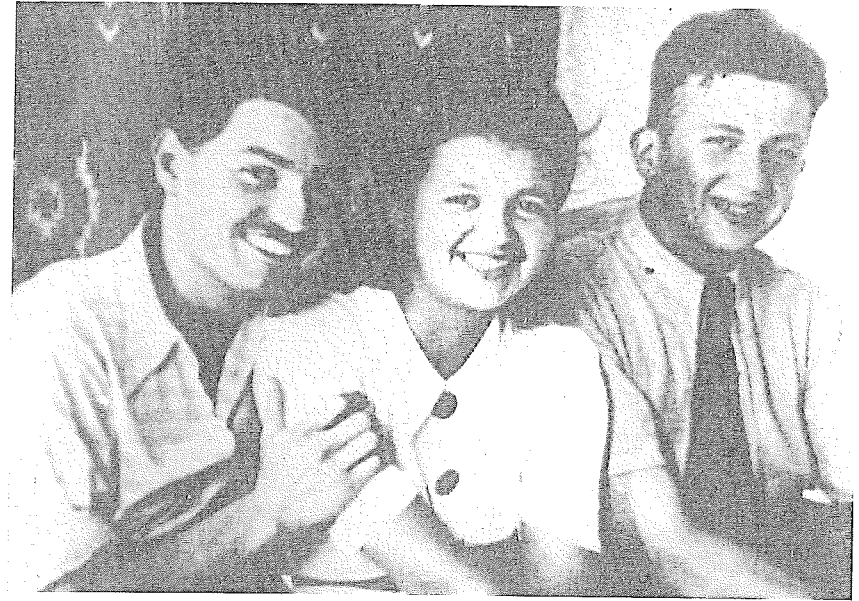
Nad Jeziorkiem Czerniakowskim.
Warszawa, sierpień 1940.

imię zbliżania szkoły do życia, postanowił zmienić organizację szkoły średniej. Zamiast ośmioklasowego gimnazjum, wprowadzono tylko 4 klasy gimnazjalne i 2 klasy licealne, zachowując łącznie ze szkołą powszechną dwunastoroczny okres nauczania. Jaś z tego powodu miał przez 3 lata świadectwo jako uczeń pierwszej klasy, gdyż stopniowo "obcinano" klasy najniższe.

Trzy lata pobytu w reformowanej co roku klasie pierwszej, przy teoretycznych założeniach programowych - dały Jasiowi dużo korzyści. Wysokiej klasy kadra nauczycielska tej szkoły realizowała wszechstronnie zamierzenia programowe, nie zawsze jednak dostosowane do możliwości uczniów - raczej zawyżone, bo to było przecież eksperymentowanie, a programy zakreślone były na wyrost*.

Ruchliwy umysł Jasia od dzieciństwa pozwolił mu zgromadzić sporo wiadomości z różnych dziedzin i dzięki temu mógł nimi w dostateczny sposób operować.

Miał ulubione dziedziny, które zgłębiał pilnie i w nich celował. Do matematyki wciąż wracał, przyroda go wciągała. Później interesowała go fizyka i chemia i do tej drugiej zaglądał w czasie "Małego Sabotażu", gdy chodziło o środki wybuchowe, które omawiał razem z Tadeuszem "Zośką". Tadeusz znał tajniki, przejmując dziedziczne zainteresowania po ojcu -



Dusia i koledzy Jasia. Andrzej Zawadowski "Gruby" z "Kamieni na szaniec", Kazimierz Sułowski.

W tym czasie, mając 11, 12 i 13 lat, zarysowała się u Jasia wybitna wydajność społeczna. Dopracował się tej strony charakteru w trakcie stawiania klasie wysokich wymagań, a od siebie żądał pełnej odpowiedzialności w każdej sprawie.

W czym się ona przedstawiała? Przedstawiała się w pełnej samodzielności, w wewnętrznej potrzebie wywiązania się z obowiązków czynienia wokół siebie wzorowego ładu. Dbał o porządek w pomieszczeniu, w biurku, w szafie, teczce, szufladzie*. Niemal każdy jego

ślawnym uczonym w tej profesji, korzystali obaj z jego doświadczeń.

Wspomnieć mi też wypada o mistrzostwie Jasia w grze tak zwanej "męczygłówką". Kiedy towarzystwo rówieśników wyczerpało temat dyskusji, wtedy, aby znowu poruszyć umysł, przystępowali do gry. Każdy mógł rzucić jakiś ciekawy wyraz, który miał kilka głosek np. lokomotywa. Z liter tego wyrazu trzeba było ułożyć nowe wyrazy w liczbie pojedynczej, np. wał, motyka, kot, tykwa, lok, myto, lot, mak. Wygrywał ten, który miał wyrazy niepowtarzające się u kolegów. Trzeba było mieć dużą bystrość i zasób wyrazów odpowiedni. To była też pierwsza "olimpiada" słowna.

W szufladzie zrobił sobie przegródki cienkimi listewkami, gdzie każda rzecz miała swoje miejsce (gumy, ołówki, pióra, stalówki, notesy, klucze itp).



Jaś i Monia (Maria Trzcńska).
Warszawa - maj 1940.

przedmiot miał określone miejsce i nie przedstawiało to żadnej trudności, gdyż wszyscy w domu szanowali organizację pracy na co dzień. W szkole zaś były wytyczone też "granice", których nie pozwalał sobie przekraczać.

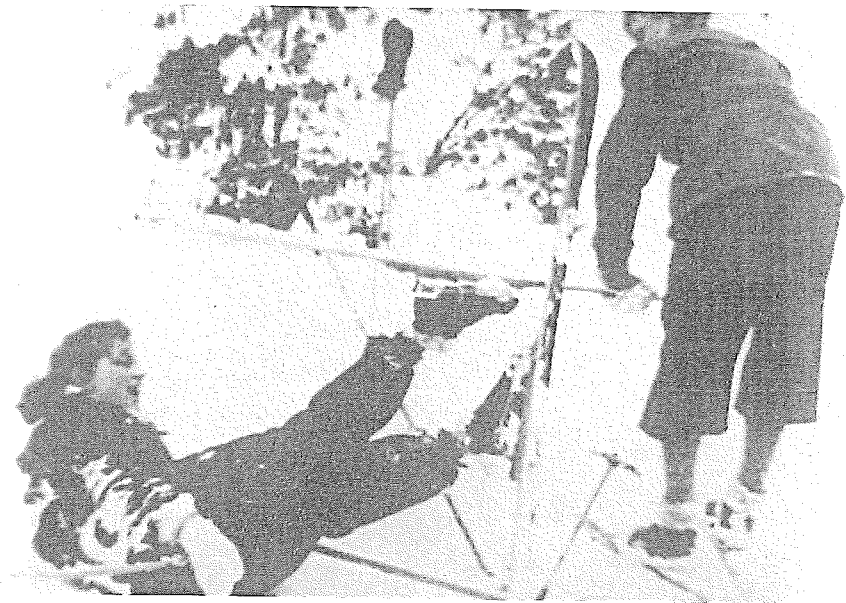
Nauka zresztą stanowiła dla niego zawsze jakby zaspokojenie wielu potrzeb przyrodniczych. Szkoła bowiem rozbudzała jego ambicje, rozszerzała horyzonty myślowe, przedkładała mu szczytne ideały.

Stale powiększał zasób wiadomości z zakresu ulubionej dziedziny, ucząc się do późnej nocy, a nieraz nawet do białego rana, z latarką pod kołdrą*. Zczytywał się w powieściach podróżniczych, fantastycznych, egzotycznych, jak Sigridy Undset, Juliusza Verne'a, Żuławskiego, Londona, Conrada Korzeniowskiego, Mayne Reida, Kiplinga, Curwooda i innych, nawet z ówczesnej techniki.

Dom i szkoła sprawiły, że drogą wzmocnienia dziecięcego entuzjazmu wydobyto z głębi jego duszy najszlachetniejsze uczucia.

Wspólnie dążyliśmy do rozwoju tych sił duchowych, które zadecydują o przyszłym jego życiu w walce o byt i o tym, czy stanie się jed-

* Chodziło o to, by światło nie zdradziło przed rodzicami jego zaczytania nocnego.



Na nartach w Wesolej k/Warszawy. Zima - 1941 r.

nostką samodzielną i twórczą i czy osiągnie szczybel rozwoju, zgodny z jego możliwościami i uzdolnieniami.

Zamierzenia i cele szły w tym kierunku, żeby wytworzyć w nim potrzebę pracy, potrzebę stania się jednostką pomnażającą dobra kulturalne, pełnię poświęcenia i ofiarności na rzecz Ojczyzny. Miłość do kraju ojczystego, poczucie pracy poważnej dla niego, przenikały na wskroś jego program życiowy.

Harcerstwo poszerzyło te zadania. Praca w zastępie, potem w drużynie sprawiły, że poszukując atrakcyjnych zajęć, doskonalili się na tej drodze. Stąd też narodził się impuls do pracy samokształceniowej, której nie porzucił już do końca.

Potrzeba doskonałości, wysokie poczucie odpowiedzialności za podjęty obowiązek sprawiły, że do pracy harcerskiej przygotowywał się sumiennie. Tutaj można powiedzieć, że hojnie i rozrzutnie dawał z siebie, co miał najlepszego i najszlachetniejszego*.

* Trudno było w nim skonstatować jakąś wadę, bowiem mnóstwo zalet pre-dysponowało go na "chodzący" ideał i nie można mu było niczego zarzucić.

W charakterze jego było wiele przymiotów, przydatnych mu w jego działalności i w życiu dorastającego młodzieńca.

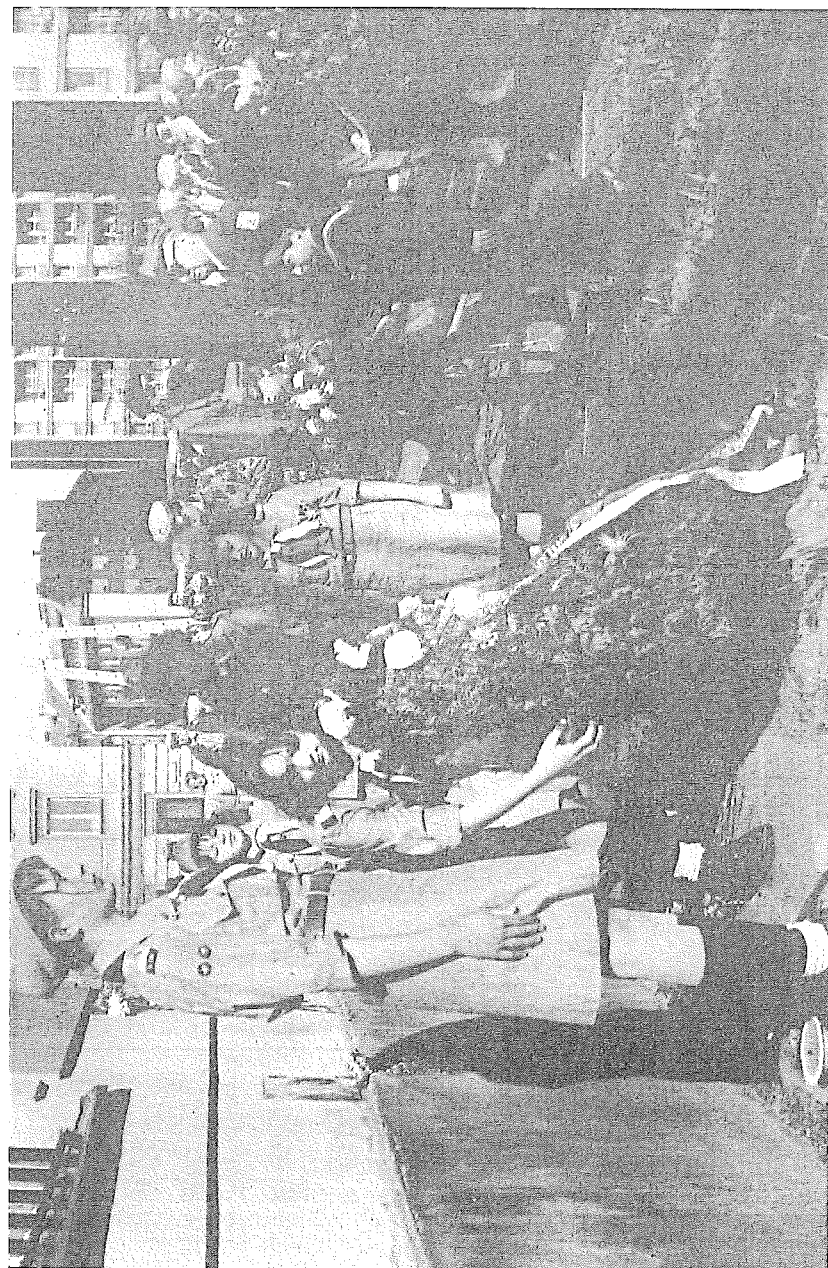


Klasy VIIIa i VIIIb Liceum Batorego na Jasnej Górze. Częstochowa - maj 1939 r. 1. Jan Bytnar, 2. Andrzej Zawadowski, 3. Aleksy Dawidowski, 4. Tadeusz Zawadzki [Por. Aneks 5].

Wśród ogromnej pracy nad sobą uzyskał poczucie duchowej wspólnoty z innymi i zrozumiał, że musi sam z siebie wykrzesać wiele zalet, by własną osobowością i przykładem nie tylko przodować zespołowi, ale go doskonalić*.

Długo nosił się z zamiarem oświadczenia się Marynie T. i kiedy przekonał się o jej wartości, był stały w uczuciach. Nie okazywał zewnętrznie zbyt wielu swych sentymentów, ale był serdecznym towarzyszem, dawał dowody przyjaźni od serca i zabiegał o jej względy. Stawiała mu też swoje wymagania, a on pracował (np. taniec) nad tym, by Marynę zadowolić na każdym polu i w każdej dziedzinie. Zniewalała ją do Jasia jego mądrość, wybitna pozycja wśród kolegów, jego przodująca działalność w konspiracji. Była też pod wpływem jego pewnego wdzięku, któremu uległ też jej brat Tytus. Wziął on udział w zbrojnej akcji pod Arsenalem, ale też cała rodzina została bezpośrednio zaareztowana, ucierpiała wiele w obozie oświęcimskim. Matka zmarła zaraz po przybyciu do obozu, zaś Maryna przeżyła i po uwolnieniu wywedrowała do Anglii, Kanady.

Miał spokojny, miły, pełen godności sposób życia, toteż miał ogólny szacunek w rodzinie i w gronie kolegów. Rodzina mogła na niego liczyć i rzeczywiście doznała od niego dużego wsparcia materialnego w najtrudniejszym czasie, po kapitulacji i w czasie okupacji.



Pod Arsenalem - składanie kwiatów. Warszawa, 29.III.1980 r.

Dużo miejsca wyznaczył potrzebie sympatyzowania. Określał te potrzeby jakby podejściem wychowawczym, które mu pozwalało zjednywać sobie kolegów, aby potem "wprzęgać" ich do wielkiej pracy społecznej.

Z każdym rokiem wyznaczał sobie nowy program pracy, który konkretnie wyrażał się w tym, co pozna nowego, czego jeszcze musi się nauczyć, czego się dopracuje i co uczyni dodatkowo dla domu, dla bliskich i dla swej braci harcerskiej*.

Nie zaprzestał "uganiać" się za dobrą książką. Nie uznawał wiedzy po "łebkach". Pogłębiał stale ulubioną dziedzinę**, emocjonował się szerokim nurtem zjawisk społecznych. Osądzał je już krytycznie i planował wiele zmian w tym względzie, gdy uda mu się w przyszłości zająć odpowiednie stanowisko, do czego przygotowywał się z usilną wiarą***.

Zanim jednak to osiągnie - wszystkie siły twórcze poświęcał idei harcerskiej - uczucie to stało się ponad śmiercią.

Zdzisława Bytnarowa

Mielec, 2.II.1985 r.

Zaciągał się do każdej roboty, by wspomóc rodzinę - smażył marmoladę (przywiózł z Tadeuszem "Zośką" barką owoce). Potem, kiedy ruszyły szkoły, szklili z Alkiem okna w warunkach do -30° mrozu. Dawał korepetycje, kreślił arkusze techniczne i zabiegał na wszystkie strony, by do domu nie zajrzała nędza.

Marzył nie o karierze, ale o zajęciu stanowiska naukowego, bo już spostrzegł wiele niedostatków i pragnął kiedyś wpłynąć na pozytywne zmiany.

Leżały mu już na sercu sprawy wsi. Poznał rodzinę babci i jej trudne warunki życia, bo niewielki areal ziemi nie pokrywał potrzeb.

** Zakrawał na erudyte, gdyż sięgał cierpliwie do źródeł.

*** Interesował się olbrzymim zakresem wiedzy współczesnej, chciał się mniej poruszać swobodnie. Dostyc wcześniej formował się na uczonego. Marzył też o wzbogaceniu swej wiedzy za granicą. Głównym jednak tematem dyskusji, jaką prowadził, była wizja przyszłej Polski. Dotykał bowiem problemów ze wszystkich sfer życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego.



Pod tablicą na Arsenale matka i siostra Jasia.
Warszawa 29.III.1980 r.

